OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 29 Listopada / 11 Grudnia 1867 roku.

Nr 50. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok III.

TREŚĆ. — Pierwsza przyjaźń, poezja, przez *Wincentego Korotyńskiego*, (z drzeworytem).—Samobójca, powieść karpacka, napisał *Wołody Skiba*, (ciąg dalszy). — Słówko o istocie rysunku i znaczeniu takowego w życiu praktycznem, przez *Aleksandra Osipowicza*. — Rozmaitości.— Szkice obyczajowe, *Leona Kunickiego:* Sługa wiejski w Wârszawie, (z ryciną).—

PIERWSZA PRZYJAŹŃ.

Obaj biedni, prości, mali,
Jaki przestwór obu dzieli,
Co się chwali, co nie chwali
Przez Bóg żywy nie wiedzieli.

Nie czuł chłopiec, że nań [włożą
Imię pana nad zwierzęty;
Piesek chłostą i obrożą
Do służalstwa nie był zgięty.

Społem obaj przyjaciele
Na uliczce się bawili,
Społem gorycz i wesele
I sieroctwo swe nosili.

Raz dziecięcia wiotkie ręce
Ocaliły psa z topieli;
Lecz o męztwie, o podzięce,
Gazeciarze nie słyszeli....

Czas igrzysko sprawił z niémi:
Chłopię wzrosło na młodzia- [na
Wiek pochylił psa ku ziemi,
Lecz nie zaszła insza zmiana.

Biegły drużki i druhowie
Na młodzieńca szczere łono;
Jeśli wierzyć ludzkiéj mowie,
Ktoś go nawet kochał pono

Wyszedł słaby a zuchwały
Szukać doli po za siołem;
Czułe dusze żałowały,
Pies się tylko udał społem...

W czystem polu pod kaliną
Świeża wzniosła się mogiła,
Łzy niczyje tam nie płyną
I nikt modłów nie zasyła.

Pies się tylko dowlókł wzgó- [rza
I na grobie legł w żałości,
I tak został — póki burza
Nie rozwiała starych kości.

Wincenty Korotyński.



Piewsza przyjaźń.

SAMOBÓJCA.

POWIEŚĆ KARPACKA.

(Dalszy ciąg.— Patrz Nr. 49).

Wtedy Mrożek przemawiał do niego uroczyście:

— Widzisz chłopcze, mógłbym cię zgubić, mógłbym cię zaprowadzić do urzędu, gdzieby cię ukarali jak złodzieja... ale ja wiem że się poprawisz... Zresztą ja nigdy i nikomu nic złego nie zrobiłem i nie zrobię... Kto na mnie kamieniem, ja na niego chlebem... Więc też o tem ani słowa nikomu nie powiem, bądź pewny i spokojny mój chłopcze, tylko pamiętaj, gdyby kiedy co ludzie na mnie złego powiedzieli, to ty mnie broń i powiedz, że Jan Świt jest dobry człowiek.

— A toby tego Pan Bóg skarał, ktoby o was co złego powiedział, panie bakałarzu — odpowiadał napominany, — któż was tu nie zna, żeście święty człowiek.

— Cyt, moje dziecko, nie bluźnij — przerywał z udanem zgorszeniem świętoszek, — nikt nie jest świętym na tym świecie. Idź z Bogiem, a pamiętaj broń mnie, gdyby o mnie źle gadali, bo gdybyś na mnie sam co złego mówił, albo też milczał kiedy inni źle mówić będą, toby ci ani Pan Bóg ani ludzie nie darowali tego, żeś mnie dzisiaj chciał skrzywdzić.

Takiemi i tym podobnemi manewrami, zyskał sobie Mrożek w Skalicach pięciu czy sześciu ludzi, którzy go się wstydzić musieli, bo ich pochwycił na gorącym uczynku przestępstwa, do którego sam dał okazją. Ludzie ci częścią przez wdzięczność że się z nimi obszedł łagodnie, częścią przez obawę żeby się ich tajemnica nie wydała, musieli stać po jego stronie, i głośno prawiąc o jego cnotach, robić mu coraz lepsze imię.

W planie swoim Mrożek ułożył, że z tych ułaskawionych przestępców, w razie potrzeby, większą jeszcze korzyść wyciągnie.

Ponieważ niepodobna było skłonić stryja do odmiany zamiaru lub przynajmniej odłożenia przyjazdu, ponieważ przytem było Mrożkowi koniecznie potrzebne, żeby stary Świt przyjechał do Skalic wieczorem, a nadto do wykonania swego planu potrzebował pewnych rzeczy, których ani w Skalicach ani w okolicy dostać nie było można,—więc w tym trojakim celu ułożył sobie sam pójść naprzeciwko niebezpieczeństwa, które się do niego zbliżało, czyli wyjechać naprzeciw stryja, ażeby przywożąc go z sobą być panem godziny o której przyjazd nastąpi, a jadąc po niego, zaopatrzyć się w resztę przedmiotów jakie mu potrzebne być mogły.

Zaraz więc, jak tylko swój plan ostatecznie obmyślił, napisał do stryja, przedstawiając mu wymownie obraz szczęścia, jakiem go przejęła obietnica przyjazdu. Zawiadamiał, że w swoim biednym domku przygotowuje i urządza wszystko na jego godne przyjęcie i że nie czekając, aż stryj w jego domu zawita, postanowił wyjechać naprzeciw niego do Nowego-Targu, ażeby z nim razem odbyć krótką wycieczkę po najpiękniejszych okolicach tatrzańskich; prosił więc i błagał stryja, o punktualny przyjazd do miasteczka i oczekiwanie na niego, gdyż nowe obowiązki nie pozwalają mu się na dłużej oddalać ze Skalic, jak na dwa dni i noc jedną.

Cały ten list starał się zredagować najserdeczniej i w zupełności polegał na jego skutku.

Tak przygotowany, po upływie tygodnia blizko, w wigilją dnia który przeznaczył na wykończenie swego planu, wyjechał o samym świcie do umówionego miasteczka.

Na wyjezdnem długo rozmawiał z Jankiem, dając mu rozmaite zlecenia i rozporządzenia na czas swojej nieobecności i przestrzegając szczególnie, żeby, dopóki niepowróci, głupstwa jakiego nie zrobił. Powiedział mu, że powróci z pewnym znajomym panem i zażądał stanowczo, ażeby w chwili powrotu, Janek starał się jak najmniej owemu panu pokazywać na oczy.

— Jak przyjadę — rzekł do niego— nareszcie wszystko się skończy... Halka będzie twoją, Antka pozbędziemy się ze wsi... tylko do przyjazdu mojego siedź cicho jak trusia, żeby tu nikt na ciebie nie zwracał uwagi. Antek widzisz ma także za sobą takich ludzi, coby nam wszystkie szyki popsuć mogli, więc się nie mięszaj do niczego i czekaj aż ja wszystko zrobię. Tyś poczciwy chłopak i ja cię uszczęśliwić muszę.

Słowa te mówił Mrożek głosem poważnym, w którym nawet jakiejś oznaki głębszego wzruszenia dosłuchać się było można. Nie pochodziło to bynajmniej z przejęcia się losem chłopca, który żył tylko miłością, a więc łatwo się stawał potrzebnem narzędziem w ręku człowieka, co jego uczucia zręcznie wyzyskiwać potrafił. Mrożek był nastrojony poważnie i niemal wzruszony, wiedział bowiem że przystępuje do dzieła, do wykonania którego najprzebieglejszej ostrożności było potrzeba, i którego nieudanie się zabić mogło wszystkie jego widoki.

Plan Mrożka uprzątnięcia za jednym zamachem i w jednej prawie chwili wszystkich, którzy mu zawadzali na świecie, a których było aż trzech, był dosyć zawikłanym, ażeby na jego udanie się bezwarunkowe mógł dalej liczyć śmiało i na pewno. Dramat, który odegrać zamierzył, był jak owa kunsztowna budowa scenicznego dzieła, z której gdyby najmniejszy wyjąć szczegół, jużby rozwiązanie zupełnie innem być musiało. Przypadek, fatalność, czy jak to kto sobie nazwać zechce, mogły bardzo łatwo robić wyłomy w misternem rusztowaniu jego osnowy, a gdziekolwiek to rusztowanie by się zepsuło, budowniczemu-autorowi byłoby niezmiernie trudno je ratować i cała budowa runąć by mogła.

Mrożek wiedział o tem, nie myślał jednak cofnąć się od wykonania pomysłu, mimo trudności, jakie ten pomysł przedstawiał. Korzyści z udania się tego przedsięwzięcia były zbyt wielkie i zbyt stanowcze, żeby się dał zwyciężyć obawom, jakie mu się nastręczały.

— Ostatni raz w życiu ryzykuję — mówił w duchu,— i to ryzykuję wszystko. Jeżeli wygram, będę miał spokój i majątek, będę najprawowitszym Janem Świtem, bo nawet wejdę w prawne posiadanie mienia rodziny jego... jeżeli zaś przegram, to położenie moje będzie bardzo niewiele gorszem od tego, jakie było przed kilkunastu ledwie dniami. Trzeba będzie może uciekać.... ba! jam i na to przygotowany, a w każdym razie lepiej uciekać jako człowiek, który występował pod nazwiskiem Jana Świta, a gdyby się wydało, że to nazwisko nie jest jego, nikt nie wie, co on za jeden, — niż przedtem, gdy podobnież uciekać byłem zmuszony, a ci co mnie ścigali wiedzieli, że byłem Mrożkiem.

Z takiemi myślami jechał do Nowego Targu i jeszcze przed południem tam stanął.

Jak tylko przybył, nie tracąc czasu, zaczął się rozpytywać o swego mniemanego stryja, odprawi-

wszy tylko przedewszystkiem człowieka, z którym przyjechał, w tej chwili bowiem niechciał mieć przy sobie nikogo, ktoby mógł wiedzieć że jest Janem Świtem.

Stryj zabitego Jana śpieszył się widać, czy uścisnąć synowca, któremu wszystkie dawniejsze urazy przebaczył i którego nie widział oddawna, czy też rozpocząć kuracją którą mu doradzono, bo nietylko stawił się na czas wskazany w liście, ale nawet uprzedził Mrożka. Wkrótce więc po przybyciu do Nowego Targu, bakałarz Skalicki dowiedział się, że stary Świt już się tam znajdował od godziny.

Na tę wiadomość aż pobladł.

— Cała moja sztuka wisi na włosku— zawołał w duchu, — otóż dobra okoliczność, którąby mogła wszystko w niwecz obrócić... Czy podobna było przewidzieć, że stary będzie się tak spieszył?.... A tymczasem gdybym przyjechał o godzinę później, jużby może było zapóźno. Stary mógłby wyjechać dalej i ktoby go dogonił po tych szatańskich górskich drogach?... gotówby wprzód odemnie przyjechać do Skalic, a wtedy wszystkoby przepadło.... Trzeba ostrożności nielada.... dobrze że tą razą się upiekło, mam naukę na przyszłość.

Pogładził włosy, otrzepał kurz z ubrania i pośpieszył do zajazdu, w którym Świt oczekiwał na synowca.

Rzecz zbyt jasna, żeby o tem wspominać trzeba było, że niemyślał przedstawiać się swemu mniemanemu stryjowi jako Jan Świt. Przypuszczać, że Mrożek zechce wmawiać w człowieka którego nie znał i któremu nie był znanym, że jest jego najbliższym i jedynym żyjącym krewnym, znanym mu dobrze, chociaż dosyć rzadko widywanym—byłoby to posądzać bakałarza Skalickiego o pomięszanie zmysłów.

Tego rodzaju sztuka udać się nie mogła i Mrożek nie myślał jej próbować.

Wszedł do gościnnej izby z oznakami głębokiego uszanowania, nie posuniętego przecież do poniżania się, gdyż wiedział z opowiadania Jana i z listów, że stary Świt był człowiekiem prawym, a doświadczenie nauczyło go, że ludzie prawi i szanujący swoją godność, najgorszego nabierają wyobrażenia o tych co się płaszczą przed nimi.

Wchodząc bystrym rzutem oka zmierzył człowieka, którego miał przed sobą, chcąc niejako z fizjognomji odgadnąć, z kim ma do czynienia, i jak z nim postępować należy.

Stryj Jana Świta był człowiekiem liczącym przeszło lat sześćdziesiąt, nizkim, cokolwiek przygarbionym, dosyć wątłej budowy. Twarz jego pogodna, chociaż poorana zmarszczkami, przemawiała łagodnym i ujmującym wyrazem, oczy niewielkie i wiekiem przyćmione, spoglądały przenikliwie i oznajmiały intelligencją.

W ogólności fizjognomja ta dobre zrobiła na Mrożku wrażenie.

— Niezły jakiś stary — rzekł do siebie, — łatwo z nim będzie....

Wiadomo, że Mrożek był na pierwszy rzut oka cokolwiek do Jana Świta podobnym, nic więc dziwnego, że sędziwy starzec, który tylko synowca oczekiwał i skutkiem wieku wzrok miał osłabiony, w pierwszej chwili wziął wchodzącego za Jana, i nim jeszcze Mrożek zdążył wymówić pierwsze słowo, wyciągnął do niego ręce i odezwał się:

— Przyjechałeś wreszcie, mój Janie....

Słowa te były dla Mrożka niesłychanie silną pokusą. Z szybkością iskry elektrycznej, myśli przesuwały się w jego głowie: w jednej sekundzie przemknęło się ich tyle, że najbieglejszy stenograf na ich opisanie kilku minut by potrzebował. Są ludzie, którzy tak szybko myśleć, nawet w najważniejszych okolicznościach swego życia, nie byliby zdolni.

Mrożkowi wystarczyła sekunda na rozważenie swego położenia.

W mgnieniu oka zrozumiał i ocenił, jakby było dla niego korzystnem, gdyby mniemany stryj dał się oszukać co do osoby jego, tak jak się oszukiwał za pierwszem wejrzeniem. Cały plan tak misternie osnuty, cały łańcuch zbrodni tak mistrzowsko powiązanych z sobą, cały dramat tak trudny do odegrania—stałby się zupełnie niepotrzebnym. Jedna chwila, jedna pomyłka starca, słabość wzroku i słuchu, zrobiłyby wszystko. Znając z notatek Jana mnóstwo drobnych szczegółów dotyczących jego osoby i mogących stanąć w razie potrzeby za dowód jej tożsamości, Mrożek łatwiej już nadal mógłby odgrywać jego rolę. Cóż łatwiejszego jak starca w sieć oplątać? — Gdyby kiedykolwiek potém powziął jakąś wątpliwość co do tożsamości synowca, można tam było zamydlić oczy mnóstwem rzeczy, o których nikt inny oprócz Jana wiedzieć nie mógł i nie wiedział.

Wszystkie te okoliczności w jednej chwili stanęły w myśli Mrożka i nęciły go niezmiernie. Nabyć kosztem jednego kłamstwa to co się nabyć miało kosztem kłamstw tysiąca, illustrowannych, jakkolwiek bardzo zręcznie pomyślanemi, lecz zawsze niebezpiecznemi zbrodniami, było spekulacją tak kuszącą, iż Mrożek mało nie uległ tej pokusie.

Pochylił się już nawet by krok zrobić naprzód i rzucić się w objęcia mniemanego stryja, ale się wstrzymał w porę i ruch swój w nowy ukłon zamienił.

Drugie mgnienie oka było dostatecznem, aby go przekonać o całem nieprawdopodobieństwie udania się i niebezpieczeństwie nieudania się tego podstępu.

— Zkąd pewność, że mnie po głosie niepozna?... zkąd przekonanie, że się jakiemkolwiek słówkiem nie zdradzę?.... Po blizkiem przyjrzeniu musi mnie znaleźć rażąco niepodobnym do Jana.... chybaby był okrutnie głupi, gdybym weń zdołał wmówić że się tak zmieniłem.... czaszka się zwęża z latami...

Tak myśląc, odepchnął od siebie pokusę i nie rzucił się w otwarte objęcia swego mniemanego stryja.

— Pan dobrodziej się myli, — szepnął głosem stłumionym, częścią przez żal za wymykającą się sposobnością natychmiastowego uprawnienia się jako Jan Świt, częścią z obawy, żeby go kto nie podsłuchał jak się wypiera tego nazwiska, które przez sen nawet zwykł był powtarzać.

Stryj Jana spostrzegł odrazu swoją pomyłkę.

— Ach w istocie...—odrzekł—czekam tutaj mego synowca, a że do pana cokolwiek podobny, więc w pierwszej chwili pomyliłem się....

— „Cokolwiek podobny — powtórzył w duchu Mrożek, — a co!.... źlem myślał, że to mi djabeł chciał podstawić nogę?....

Uradowany, że nie uległ pokusie która go zgubić mogła, zaczął odgrywać rolę, jaką sobie na przód ułożył.

— Synowiec pański — rzekł, — serjo zajęty speł-

nieniem obowiązków, które przyjął na siebie, zaskoczony został dzisiaj właśnie przez okoliczności tak ważne, że naraziłby się na utratę miejsca, gdyby wyjechał w tej chwili. List jego, który tutaj doręczam, tłumaczy go obszerniej w tym względzie. Nie chcąc pana dobrodzieja narażać na zawód i oczekiwanie, prosił mnie, jako swego przyjaciela i kolegę, jestem bowiem nauczycielem wiejskim w tej samej okolicy, ażebym go wyręczył i odbył z panem zamierzoną wycieczkę w Tatry, a potém razem pojedziemy do Skalic, jeżeli towarzystwo moje nie wyda się panu dobrodziejowi uprzykrzonem.

Tu Mrożek przedstawił się pod zmyślonem nazwiskiem, jako bakałarz ze wsi, której nazwę również w tym celu sobie wymyślił.

Stryj Jana Świta przyjął go bardzo uprzejmie i z początku tylko upierał się nieco, nie chcąc przyjąć jego ofiary i robić dłuższej po górach wycieczki, obawiał się bowiem zabierać mu zbyt dużo czasu, ale Mrożek któremu chodziło o to, żeby stary zbyt prędko nie przyjechał do Skalic, tak wymownie i z taką grzecznością ofiarował mu swoje usługi i przewodnictwo, tak mu się umiał przypodobać, tak gruntowne na wszystkie jego argumenta wynajdował odpowiedzi, że niedługo zgodę jego uzyskał i postanowili razem się puścić w góry.

Nieznać tego było po Mrożku, ale ta argumentacja kosztowała go niemało potu i śmiertelnej obawy.

— Nie wiem, cobym był począł — mówił do siebie, gdy już uzyskał zgodę starca, — gdyby stryjaszek się uparł i chciał koniecznie dzisiaj jechać do Skalic? —Znów mój cały plan poszedłby do licha!. Doprawdy, zaczynam myśléć, że cała moja sztuka źle jest ułożona—wszystko w niej zawieszone na włosku; jeżeli djabłu w piekle nie zapodziały się gdzie nożyczki, jak starej gospodyni naszego proboszcza, która czasem ich aż u mnie szukać przychodzi, — to mi gotów przeciąć pierwszy lepszy z tych włosków i wtedy będzie po wszystkiem.

Nachmurzył się i zadumał, ale po chwili znów się rozpogodziła jego twarz.

— Po wszystkiem albo nie po wszystkiem—rzekł do siebie, — gdyby stryjaszek uparł się dzisiaj jechać... no, to i tak niebylibyśmy w Skalicach jak na wieczór... byłbym tylko zmuszony dziś się z nim uwinąć. Antek z Dawidem, a nawet tylko sam Dawid zostałby na potem.... tak.... tylko Dawid...

IX.

Podróż po Tatrach z sześćdzięcio-kilko-letnim starcem musiała być naturalnie inakszą, niż bywają zwykle wycieczki przez młodych naszych turystów odbywane. Młodzież ma sobie za punkt honoru drapać się na szczyty, narażać na niebezpieczeństwa, szukać wrażeń i widoków, tym ponętniejszych im są mniej dostępne, studjować albo raczej obserwować pobieżnie obyczaje i życie ludu, przepędzając noce w ubogich karczmach i jeszcze uboższych chatach, zachodzić aż na halę na ser i żętycę, albo drapać się jeszcze wyżej z strzelbą w ręku za myśliwskiemi goniąc przygodami. Starcowi tego wszystkiego proponować nie było można. Gdyby nawet był rzeźwiejszym i czerstwiejszym niż był w istocie, i gdyby chciał się zdecydować na fatygę połączoną z tego rodzaju podróżowaniem, Mrożek musiałby jeszcze odwodzić go od tego, okazywać troskliwość i dbałość o jego zdrowie i z całą usilnością wpływać, żeby podróż odbywała się w sposób ile możności najmniej utrudzający i najdogodniejszy.

W ten też sposób ułożonym był plan Mrożka. Pilnując się dróg najdogoniejszych, o ile to w Tatrach jest możebnem, objechać mieli piękniejsze ich punkta, zatrzymując się tylko tam, gdzie jakiej takiej wygody można było oczekiwać.

W czasie podróży, Mrożek korzystał z czasu, ażeby stryja jak najlepiej usposobić dla synowca, a chwaląc przyjaciela, dać tym sposobem o sobie jak najprzystępniejsze staremu Świtowi wyobrażenie. W tym celu nie zaniedbywał żadnej sposobności, ażeby mówić o bakałarzu Skalickim, i nieraz nawet wyraźnie rozmowy na niego naprowadzał, chociaż się przedmiot do rozmowy zupełnie inny nastręczał.

Spostrzegli naprzykład w pewnem oddaleniu gruppę górali tatrzańskich: Stryj Jana przypatrywałem się, znajdował malowniczym ich ubiór, dziarskiemi ich postacie i mówił do Mrożka:

— Patrz pan, tęgi lud, znać że bliżsi natury i częściej z nią obcują, niż naszych dolin mieszkańcy....

— O! prawda panie, że lud tęgi i dobry—przerwał Mrożek, — a gdyby więcej było ludzi z takiem poświęceniem, jak synowiec pański, pracujących nad jego oświatą, wkrótce nawet ta okolica tak skąpo uposażona w płody natury, stałaby się siedliskiem dobrobytu i pomyślności....

Gdy się zbliżyli do owej gruppy, stary Świt nie mógł się wstrzymać, żeby nie zagadać do górali pytając ich to o drogę, to o nazwy gór okolicznych.

Mrożek znów coś napomknął o bakałarzu Skalickim.

— To wy do Skalic? — zapytał jeden z górali.

— Do Skalic — odpowiedział Świt, — a znacie tamtejszego nauczyciela?

— Cuda o nim opowiadają, — odrzekł góral, ale nie znamy. My z innej strony. Sobek tylko był tam w niedzielę w kościele, to go i widział... pobożny, święty człowiek.

Sobek był jednym z górali znajdujących się w gruppie i przypatrywał się pilnie Mrożkowi, który słysząc słowa powiedziane przez poprzedniego, zaczął blednąć i ukrywać twarz. Mniemany Jan Świt przewidywał, że może być poznanym i szukał w myśli jakim się sposobem wykręcić z tego niebezpieczeństwa, tak samo jak wszystkie poprzednie zagrażającego jego planom zupełną i natychmiastową ruiną.

Włosy mu powstały na głowie, gdy przyglądający mu się dotąd w milczeniu Sobek, mówić począł do Świta:

— A to gotów człek przysiądź, że ten co z Wami jedzie, to jest sam bakałarz ze Skalic.

Stryj Jana jednak nie zdziwił się na te słowa:

— W istocie — odrzekł, — ten pan bardzo podobny do mego synowca... tak dalece, że w pierwszej chwili kiedym go zobaczył, ja nawet się omyliłem.

Sobka te słowa przekonały: stryj przecież nie mógł się pomylić.

— To wyście panoczku, stryjem tego bakałarza Jana Świta, o którym tutaj na całem Podhalu ludzie gadają?...

— Tak jest.

— Dał wam Pan Bóg dobrego człowieka za synowca — kończył Sobek, — nasłuchałem ja się

o nim co niemiara w Skalicach.... taki święty człowiek co to żywcem do nieba... a do tego paneczka jak dwie krople wody podobny....

Mrożek ochłódł cokolwiek, że rozmowa taki obrót wzięła i niebezpieczeństwo przeminęło, ale niemiał ochoty słuchać na nowo o swojem podobieństwie do Jana Świta, więc zagadał co prędzej:

— A daleko ztąd do Czorsztyna?

— Nie precz, panoczku.

Stryj Jana z Mrożkiem pojechali dalej, górale poszli w swoję stronę. Świt był zadowolony z pochwał jakie z ust ludu o swym synowcu usłyszał, Mrożka to także cieszyło, mimo to przecież nasępił się trochę i myślał.

— Czym ja tylko nie zwarjował, włóczyć się aż przez dwa dni po Tatrach i chcieć się ukryć że jestem Janem Świtem?.... Anim wiedział, żem sobie taką sławę zrobił i to tak prędko... Jeszcze jedna taka przygoda, a wszystko z kretesem się popsuje.... No, ale nie traćmy głowy i bądźmy dobrej myśli... Djabeł czy przypadek widocznie nie tylko nie podstawia mi nogi, ale podaje mi rękę.... Choćby staremu w żywe oczy kto przysiągł że jestem Janem Świtem, nie uwierzy dlatego, że sam w pierwszej chwili wziął mnie za swego synowca.

(d. c. n.)

Słówko o istocie rysunku i znaczeniu takowego w życiu praktycznem.

. . . . „ten tylko jest winny,
„Kto sposób do lotu pozyskał ku górze,
„A dołem wiruje nieczynny..,"
Magnuszewski.

Utyskujemy częstokroć na brak zajęć chlebodajnych, na trudność utrzymania życia uczciwą pracą, i na przyszłość wątpliwą dla ludzi żyć poczynających w świecie na własną rękę.

Zajęć takich nie brak wcale —ale nie mamy wyrobionéj krytyki wartości ich względnej lub odwagi cywilnej do okazania w praktyce dojrzałości sądu w tej mierze, któryto sąd w naszych ustach teoretycznie brzmi nieraz nader dzwięcznie.

Wielu się zdaje, że bez emerytury w perspektywie żyć nie można.

A jest to zacofanie się w pojęciach nader smutne — dowodzące co najmniej braku refleksji i zdrowego zapatrywania się na ludzi i rzeczy.

Życie miejskie wystudjowane należycie, przekonałoby zupełnie inaczej

Bez żadnego hołdownictwa dla materjalizmu, można przedewszystkiem wiedzieć, że bez środków materjalnych w naszych czasach prawie niemożliwy jest postęp w każdym kierunku. Za dobrobytem materyalnym, uważanym jako środek nie cel życia, idzie wiedza i siła moralna — bogactwo ducha jednem słowem.

Za wszystko trzeba płacić — żeby zaś płacić, potrzeba mieć czem.

Tak samo jak za chleb, mięso, cukier, odzienie i mieszkanie—płacimy za ukształcenie, które jest także towarem; może to rzecz smutna, ale prawdziwa przynajmniej. Darmochy nie są w duchu czasu. Każdy chce żyć — a życie drogie. Każdy więc jest kupcem i kupującym na przemiany. Wiedza, — to siła powiedział Bakon Werulamski. Kto nie chce całe życie być małoletnim, powinien zdobyć sobie wiedzę — żeby zaś zdobyć ją sobie trzeba drogo za naukę płacić, lub być geniuszem. Geniusze są rzadkie i w naszych czasach cóś wcale o nich nie słychać.

Widzimy ulice zamurowane kamienicami. Czyjeż są te harde piętrowe budynki? Oto kupców, negocjantów, bankierów, spekulantów, artystów, przemysłowców, fabrykantów, profesjonistów, rzemieślników, mieszczan, a częstokroć robotników zwyczajnych — a kiedy niekiedy tylko zdarzy się spotkać z domem urzędnika. Ale i tu nie oszczędność wznosi mury, ale ponajwiększej części traf, szczęście jak nazywają, los — spadek, wiano, praca prywatna, spekulacja pomyślna, lub wygrana na loterji.

Więc ci ostatni stanowią tak szczupły wyjątek w tej mierze, że do rachuby go brać byłoby rzeczą zbyteczną.

Wszyscy inni zaś, rozpoczynając zawód sobie właściwy, nie oglądali się na żadną emeryturę — a przecież nie ulegli z tego powodu zwątpieniu żadnemu i rozpaczy.

Praca uczciwa w każdym zawodzie, jest najpewniejszą perspektywą odpoczynku na starość. Trzebaby to często powtarzać nam.

Żeby jednakże dojść do tej perfekcji, należy sobie wybrać odpowiednie do wiedzy a jeśli można i gustu zajęcie, i oddać się mu całą duszą, — a zrzucić pychę z serca i raz na zawsze powiedzieć sobie, że nie zawód człowieka ale człowiek zawód przyozdabia. Można napisać epopeję będąc szewcem z rzemiosła, a nie mieć na nogach obówia i przymierać głodem będąc poetą z powołania.

Zanim ktoś umiejętniej zechce takie zawody wytknąć i ich naturę bliżej określić, żeby otworzyć oczy komu potrzeba, powzięliśmy zamiar wedle umienia pomówić o zawodzie *rysownika* w naszych czasach, a mając do zwalczenia krzywe częstokroć pojęcia o samym rysunku i zawodzie rysownika, uważamy za potrzebne wniknąć w naturę jednego i drugiego, wedle słabej naszej wiedzy.

Pierwotnie, rysunek stanowił zapewne tylko postać wyrażoną linjami. Jest bowiem wzmianka w dziejach greckich, bez wyrażenia daty faktu, że jakiś Arduis i Telefon do rysunku dotąd ograniczającego się na linjach czyli tak zwanym obecnie konturze, wprowadzili cieniowanie celem nadania wypukłości swym figurom. Podobno Kleofont z Koryntu pierwszy wpadł na pomysł kolorowania rysunków, dodając do czarnej używanej do konturów, barwy czerwonej naśladującej koloryt ciała ludzkiego. Starożytni bowiem oddawali się prawie wyłącznie wyobrażaniu postaci człowieka, jako tworu najdoskonalszego w przyrodzeniu.

Zanim od rysunku doszło się do malarstwa, zapewne dużo czasu upłynęło. Pierwsze obrazy były malowane na drzewie lub metalowych tablicach np. miedzianych. Ale Neron pewnego razu zażądał mieć swój wizerunek na 120 stóp wysoki; malarz więc nie mógł użyć na ten cel ani desek ani tablic metalowych, a znając donośność żądania z konieczności dumając nad niezbędną potrzebą zadość uczynienia takowemu, wpadł na myśl użycia na ten cel płótna. Dopiero na schyłku drugiej połowy XIV wieku, Jan Van Eyck zwany Janem z Brugii wynalazł pokost i sposób malowania olejno.

Otóż widzimy, że rysunek bezwzględny z postępem czasu stał się nauką zasadniczą malarstwa — bo bez rysunku malarstwa nie ma; sztuki tej bowiem nie tworzą płótno, i farby, ale rysunek nakreślony na niem i uwydatniony barwami właściwemi.

Podobnież w rzeźbie, sztuki nie stanowi bronz ni marmur z których postacie bywają tworzone, bo to są materjały tylko, niby cegły użyte w architekturze do wzniesienia gmachu, którego postać także leży w rysunku nie w materjałach.

Rysunek jednakże, jako nauka zasadnicza w sztukach pięknych, ma przy sobie orszak nauk posiłkowych, które z nim całość tej nauki stanowią, jako to: anatomję, fizjonomikę, ekspresję, etnografję, historję, archeologję, obie perspektywy, a w końcu naturę.

Nauczenie się takiego rysunku jest rzeczą artystów z powołania, lub amatorów władających odpowiedniemi środkami i czasem. Żadną miarą zaś nie może i nie powinien być celem nauczania w szkołach zwyczajnych, bo dla większości

uczących się będzie rzeczą straconą, skoro nie będą mogli czy chcieli oddawać się dalszym studjom, które należą do rzędu zajęć specjalnych akademij.

Zmuszanie więc uczniów do kreślenia figur bez względu że do tego zajęcia nie mają upodobania i nie widzą w niem żadnej przyszłości dla siebie, jeżeli następnie nie zamierzają, czy nie mogą kierować się na artystów—jest wadą nauczyciela, który powinien obok całego poszanowania obowiązujących go instrukcij, pamiętać o skutku swych usiłowań w przyszłości i umieć oceniać w uczących się zdolności i upodobania nie przepominając o rozumnem ich zużytkowaniu i kierunku.

* * *

Rysunek jednakże w naszych czasach przybrał inne znaczenie. Nauki, odkrycia, wynalazki, podróże — w samych opisach traciły wiele; były to słowa, którym brakło gestów. Illustracje temu brakowi za pomocą drzeworytów zaradziły. Drzeworyt zaś jest rysunkiem ręcznym powtórzonym do nieskończoności.

Otóż rysunek wyswobodzony z krainy sztuk pięknych, wyzwolony z potrzeby wyjawiania się czem innem jak samym sobą, podnosi się do godności kunsztu samoistnego. W takiem rozumieniu jest on tłumaczem myśli, przedstawicielem rzeczy niełatwych do opisania i oddalonych i zbliża pismo do potęgi ustnego wykładu. Kiedy książka mówi o tem co jest, rysunek pokazuje jak jest. Uczeni i artyści obiegając świat przenoszą na papier wizerunki nieznanych stron, ich mieszkańców, natury, zabytków, pomników — a wizerunki te powtórzone drzeworytami, stają się własnością ogółu, rozweselają serce, zajmują i bogacą umysł — i ten wielki piękny świat ludziom przykutym do miejsca obowiązkami lub okolicznością, stawią przed oczy jak w latarni czarnoksiężkiej.

Do tego rodzaju rysunku nie potrzeba tak długich studjów ani zachodów, jak do rysunku poprzedniego.

Możnaby też powiedzieć z niejaką słusznością, że jeżeli malarze, rzeźbiarze i architekci rodzą się — to rysownicy się kształcą, tak jak oratorowie, przez pracę, rozważanie wzorów i badanie natury.

Żeby zostać dobrym artystą malarzem, rzeźbiarzem lub architektem, oprócz pracy potrzeba i talentu twórczego; żeby zaś być niezłym rysownikiem, jakiego teraz wydawnictwom illustrowanym głównie potrzeba, trzech nader prostych rzeczy żądać należy: 1^0 rysować dużo, 2^0 rysować coraz więcej — i 3^0 rysować jak najwięcej.

Jeżeli więc dawniej uczono się rysunku na to, żeby zostać malarzem, rzeźbiarzem lub architektem—dziś uczą się go częstokroć po to, żeby być tylko rysownikiem.

Początki takiego rysunku są przystępne w szkołach średnich dla każdego. Niechby uczeń starał się korzystać rozumnie z lekcji tego przedmiotu programem zakreślonych, a po skończeniu kursów byłby już nieźle przygotowany, do zdobycia sobie dalszą własną pracą stanowiska przynajmniej znośnego rysownika.

Wszakże istnieje zastarzałe uprzedzenie u nas, które młodzież szkolną oddala od tego celu. Uprzedzenie to zawiera się w tradycyjnem nieposzanowaniu samego przedmiotu, który poczytuje się za *nieważny*, to jest: taki który promocji do wyższej klassy nie wstrzymuje; następnie w lekceważeniu osób ów *przedmiot nie ważny* wykładających; nareszcie niezrozumieniu znaczenia i użyteczności takowego w życiu praktycznem. Ten ostatni zarzut sięga i samych rodziców, ktorzy drwinek z lekcyi i nauczycieli rysunków powtarzanych przez synalów codziennie z uśmiechem na ustach słuchają — a ojcowie nieraz sami lubią opowiadać własne figle w podobnym guście ze swoich czasów szkolnych w obecności swych dzieci.

Młodzież szkolna, instynktowo poczuwając się do winy, lub wiedząc nawet że źle czyni lekceważąc przedmiot, który widać jest potrzebnym i użytecznym skoro szkolnemi programami całego ucywilizowanego świata jest objęty, swe próżniactwo i lekkomyślność nauczyła się zasłaniać znaną formułą: nie mam zdolności — nie mam talentu do rysunków.

A ponieważ ze szkół liczących, średnio biorąc, trzystu uczniów, wychodzi najwięcej trzech takich którzy cokolwiek nauczyli się rysować, wypadałoby wnosić z tego, że nieudolność naszej młodzieży do rysunków, jest wadą epidemiczną.

Ale weźmy takie porównanie pod rozwagę. Każdy przyzna, że nauczanie początkowych zasad muzyki opartej na kombinacjach rachunkowych, jest daleko trudniejsze niż nauczanie początków rysunku, którego motywa są więcej zmysłowe i dla młodocianych umysłów przystępniejsze. A przecież każda panienka czy chłopczyk, nie mający jeszcze wyobrażenia o teorji ułamków, podział taktu zrozumieją, i w muzyce uczynią postępy mniej więcej zadawalniające, jeżeli nie są pozbawieni słuchu i wzroku.

Zkądże taka zdolność do muzyki, a takie upośledzenie pod względem zdolności do rysunku?

Oto ztąd, że muzyka służy do błyszczenia w świecie osobą i przedmiotem, a rysunek prawie wyłącznie ściąga pochwały do siebie samego. Nikt nie wtajemniczony w rysunek, nie znajdzie przyjemności w przypatrywaniu się osobie rysującej, chociaż rysunek wykończony każdy może sobie podobać i chwalić. Ale słuchając osobę egzekwującą jakiś urywek muzyki, wrażenie przyjemne doznane z rzeczy przenosi na osobę, rzecz z wykonaniem znika, a osoba pozostaje — przeciwnie z wykonaniem rysunku osoba znika a pozostaje przedmiot. Czyli jednem słowem, przewaga muzyki nad rysunkiem w tem się głównie zawiera, że muzyk popisuje się zarazem osobą i rzeczą, a rysownik tylko tą ostatnią. Nikt nie idzie do pracowni artysty podziwiać go w chwili gdy manewruje pędzlem na płótnie lub dłótem w marmurze, ale żeby oglądać skutek tych manewrów.

W muzyce zachwycają same manewra; po koncercie zostaje wspomnienie —po wystawie arcydzieła.

Dla jednych teraźniejszość, dla drugich wieki potomne.

Teraźniejszość zwycięża, chwila tryumfu zasłużonego czy nie pociąga ku sobie.

Ale jeżeli idzie o przyjemność tworzenia — inaczej mówiąc o urok chwili egzekucji — to nie wiem co jest słodsze, czy ta cisza która zalega salę w której utalentowany muzyk wykonywa czarodziejsko jakiś utwór swej sztuki, czy owa cisza, co zalega pracownię natchnionego malarza lub rzeźbiarza, wtedy gdy dokonywa swe arcydzieło. Muzyk skończył: rozlega się grom oklasków, sala się trzęsie od nich, oklaski ustają, wszyscy się rozchodzą, następuje czczość, osamotnienie, odczarowanie. Człowiek wielbiony przed chwilą, zostaje sam by odchorować sekundę tryumfu.

Skończył malarz lub rzeźbiarz, wyssał rozkosze samotne tworzenia do dna puhara niebiańskiego nektaru, czeka go ambrozja — zachwyt widzów, powtarza się ona co dzień. Będzie się powtarzać wieki i wtedy nawet, gdy prochy twórcy wichry rozwieją i kruki kości jego na cztery strony świata rozniosą. Osoba znikła, rzecz została — trwałe rozkosze!

I w muzyce rzecz zostaje, kompozycja! ale potrzebuje egzekutorów— rozumiejących mistrza.

Nie ma więc wymówki dość usprawiedliwionej brakiem talentu do rysunku, kto nie jest ślepym i ma ręce zdrowe, a nawet i bez nich można być rysownikiem i niezłym malarzem, jak tego dowiódł artysta malarz Ducornet rąk pozbawiony, który malował nogami.

Nauczający przykład zdarcie maski obłudnej z tych, co się zasłaniają nieudolnością do rysunków — gorzka ironia dla rodziców tych młodzieńców, co się kierują na gładyszy, pieczeniarzy i darmozjadów w ogólności.

Można być ostatnim głupcem przy nauce — w takim razie będą lekceważyć człowieka a nawet nim pogardzać, ale jego naukę uszanować muszą; ale zostać głupcem bez nauki, jest toż samo co dać sobie patent na bydlaka.

* * *

Bardzo dobrze! przypuśćmy że młodzieniec nie ma owej iskry bożej, owego promienia głowy— zwanej talentem i nie jest w stanie zostać ni malarzem ni rzeźbiarzem. Bo też źle byłoby, żebyśmy wszyscy zostali artystami. Nie byłoby komu nas podziwiać — a rozkosz tworzenia aczkolwiek niezmierna, nie jest dostateczną dla artysty — potrzebuje on i uwielbienia w swym utworze, to jest odnowienia tej roskoszy w drugich. Ale czyż to jest wymówka, żeby się już nic a nic nie nauczyć rysować w szkołach?

Bynajmniej... pozostaje bowiem jeszcze rysunek, jako umiejętność rysowania planów i mapp. Do tej talentu nie potrzeba, jeżeli zechcemy uważać rysownika tych rzeczy jako kopiistę bruljonów narzuconych ołówkiem przez specjalistów.

Rysowników takich, w wieku naszym gdzie przemysł fabryczny i rękodzielny, kommunikacje lądowe i wodne, wymagają chmary rąk do kopijowania podobnych rysunków, jest widać brak, skoro opłacają ich szczodrze.

Nie ma przedsięwzięcia, w obrębie którego znajomość rysunku technicznego nie byłaby potrzebną. Najmniejsza machina przemysłu dzisiejszego potrzebuje rysownika, żeby mogła być stosownie do pomysłu wynalazcy wykonaną.

Żadne miasto większe bez rysowników technicznych obejść się nie może, a nie masz zawodu w świecie ucywilizowanym, dla postępu którego to zawodu nie potrzebną byłaby znajomość takiego rysunku.

Tem bardziej w ogniskach ruchu naukowego, przemysłowego i handlowego, potrzeba takich rysowników jest konieczną. Ileż to ludzi ma z tego zajęcia źródło utrzymania życia, a iluż by go znalazło jeszcze żeby rysunek tego rodzaju posiadało. Zgoda na to, że nie każdy może być technikiem, ale wielu mogłoby rysunki techniczne uprawiać, przynajmniej jako dodatkowy sposób zarobkowania uczciwym i przyjemnym sposobem.

Pismo ludowe Zorza nie tak dawno jeszcze rzuciło myśl o potrzebie zajęć nadobowiązkowych dla młodzieży nie mającej dostatecznego utrzymania, wskazując rzemiosła jako źródło dochodów prywatnych, a między temi kładąc na pierwszem miejscu stolarkę. Myśl zacna i w zasadzie słuszna — ale w zastosowaniu wedle naszego pojęcia mająca tę niedogodność, że praca fizyczna dla ludzi delikatniejszego zdrowia, byłaby zbyt nużącą i czyniłaby ich niezdolnymi do pióra dnia następnego. Ręka stolarza jest silna ale gruba i drżąca, — pióro z heblem nie mogą się pogodzić. Ale dla czegóżby nie było modniej a może zyskowniej, nawet szyć obuwie lub oprawiać księgi?

Kto może, niechby zajmował się stolarką lub tokarstwem— komu tego rodzaju praca za ciężka, niechby nauczył się zegarmistrzostwa lub jubilerstwa — a komu i to nie przypadałoby do gustu, niechby był rysownikiem dla pism illustrowanych lub dla użytku techniki.

* * *

Jest wszakże drugi przesąd jeszcze tamujący pomiędzy młodzieżą pochop do rysunków — a nim jest rozmiłowanie się we własnych zdolnościach i uśpienie na początkowych laurach. Do tego prowadzą jeszcze i pochwały rodziców i ich przyjaciół.

Niech tylko młodzieniaszek okaże niejakie zdolności do rysunków — papa dobrodziej każdemu z gości każe pokazywać próbki talentu swej latorośli i admirując je, sam głośno się odzywa mniej więcej w ten sposób:

— Zdolny kanalja okrutnie — ale próżniak! próżniak w najwyższym stopniu!...

Pachole słuchając podobnej mowy swego życiodawcy, wyobraża sobie, że próżniactwo jest główną cechą genialności i poczytuje sobie za obowiązek próżniaczyć jak najwięcej. Zdaje się mu oprócz tego, że zdolności przez pracę bywają zabijane, że dosyć jest zdolnym aby wawrzyny zbierać.

Epitet próżniaka pochlebia zarówno synalowi jako piętno genialności wrodzonej, i rodzicom jako życiodawcom genialnego próżniaka.

Ale wawrzyny zwykle takich geniuszy nie spotykają w przyszłości — bo zabierają im laury z przed nosa ludzie cichej a nieugiętej pracy, co nie słynęli z fenomenalnych zdolności w szkołach.

Wśród dymu kadzideł, zatapiania się w rozkoszowaniu się we własnych zaletach, wyradzają się marzyciele, ludzie niezdolni do praktycznego życia, niezadowoleni z siebie i ze świata, płaczkowie i zawalidrogi.

Jeden ze słynnych myślicieli naszych czasów powiada:

„Twierdzą, że dla geniuszu potrzeba tylko dwóch rzeczy: życia i marzeń — chleba i czasu. Chleba! Bóg rzekł do człowieka, że będzie jadł chleb w pocie czoła. Dla czegóżby geniusz był wyjątkiem z tego prawidła zakreślonego przez Stwórcę? Moją pracą, mówi geniusz—jest marzenie. Lecz marzycielstwo nie jest żadnym stanem społecznym, którymby ludzkość miała za co czcić i wynagradzać — bo nakoniec jeśli marzyciel za przebudzeniem się ma do opowiedzenia nam tylko o swoich snowidzeniach, za cóż go mamy wynagradzać. Mamyż mu powtarzać: dumaj, dumaj jeszcze marzycielu, a my będziem pracować za ciebie."

* * *

Jak dalece nie pojmują u nas znaczenia, ważności i potrzeby rysunków, dowodzi fakt, że lekcje prywatne tego przedmiotu w kółkach rodzinnych należą do rzadkich osobliwości, a uprawianie rysunku z amatorstwa stało się prawdziwem zjawiskiem. W tym względzie otwarcie obwiniamy matki które wszystkie zasoby obracają na nauczenie swych córek muzyki dla błyszczenia w świecie, ze szkodą synów potrzebujących lekcji prywatnych dla nauczenia się talentów lub nauk, które kiedyś zaszczytną niezależność od czasu, miejsca i okoliczności mogłyby im zapewnić.

Nakoniec niech nam wolno będzie wynurzyć zdanie, które może wydawać się zbyt śmiałem, ale pomiędzy światłą publiką mające zwolenników. Otóż wedle opinji dość rozpowszechnionej, Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych połowę tylko swego zadania wypełnia —zachęca bowiem tylko artystów: nie ma bowiem swego organu, którymby zaszczepiało zamiłowanie do tych sztuk w publiczności. Posiadanie ładnego obrazu lub ryciny jest rzeczą nader przyjemną, ale niewtajemniczonych niczego jeszcze nie nauczy.

Organ taki powinienby być pismem illustrowanem i służyć za szkołę pojęć i wykonania. Możnaby zresztą dla taniości, w początkach posiłkować się w części kliszami z pism tego rodzaju za granicą wychodzących np: *L'artiste* lub L'ecole de dessin, journal des jeunes artistes et des amateurs, zasilając się wedle możności i swojskiemi rysunkami.

Aleksander Osipowicz.

ROZMAITOŚCI.

— Olbrzymia dynia. W tak zwanych Halach centralnych, to jest na głównem targowisku Paryża, co rok we wrześniu odbywa się koronowanie króla dyń. Największą dynię czyli banię, przybierają we wstążki i kwiaty i na przystro-

jonych tragach obnoszą do koła Hali, poczem sprzedaje się przez licytacją. Tegoroczny *roi des potirons* był prawdziwym olbrzymem w swoim rodzaju, ważył bowiem 264 i ćwierć funtów i miał obwodu przeszło dwa łokcie i trzy ćwierci. Sprzedanym został ten król dyń za 118 fr. t. j. za 35 rsr. 40 kop. według dzisiejszego kursu.

— **Zatonięcie wyspy.** Pod tym tytułem zagraniczne dzienniki donoszą, że jedna z Wysp dziewiczych (należą do Antylskich wysp i znajdują się w Ameryce) zwana *Tortola*, licząca 10,000 osób w zeszłym miesiącu zapadła się i zatonęła bez śladu wraz z całą ludnością.

— **Domy z bawełny.** Amerykańskie dzienniki opisują o nowym wynalazku, który pod każdym względem zasługuje na uwagę. Wynaleziono tam sposób budowania domów z bawełny i doświadczenia dotychczas robione powiodły się jak najlepiej. W tym celu używają bawełny zielonej najpośledniejszego gatunku, resztki bawełny zbierane w polu lub odpadki fabryczne— słowem wszelkiego rodzaju bawełna niezdatna do innego użycia. Z bawełny tej robią massę, która wysychając staje się twardą jak kamień, a następnie pokrywa się z wierzchu materją chroniącą ją od wpływu wilgoci. Podług dzienników amerykańskich, dla zbudowania domu z bawełny potrzeba dwa razy mniej czasu, aniżeli dla zbudowania go z cegły. Jeżeli jeszcze powiemy, że dom bawełniany nie obawia się ognia, jest tak trwały jak murowany, a kosztuje trzy razy mniej, aniżeli ten ostatni, to łatwo pojmiemy, że każdy odda pierwszeństwo bawełnianemu domowi.

— **Środek przeciw rdzewieniu metalów.** Ostatniemi czasy upowszechniła się za granicą massa zabezpieczająca od rdzewienia metaliczne powierzchnie. Massę tę każdy z łatwością może urządzić, rozpuszczając biały wosk w równej co do wagi ilości terpentyny. Przygotowaną w ten sposób massą smaruje się cienko powierzchnia metalu i naciera się płócienną szmatką dopóty, dopóki powierzchnia nie otrzyma takiego pozoru, jakby była pokryta politurą. Środek ten jest bardzo skuteczny przeciw rdzewieniu żelaza i stali.

— **Kobiety w fabrykach.** W królestwie Wielkiej Brytanji pracuje w fabrykach około 803 tysięcy kobiét. W fabrykach bawełnianych pracuje ich 259,074 i fabrykach wyrobów wełnianych 99,304; jedwabiów i wstążek 71,257; koronek 45,107; wyrobów ze słomy 44,228; w zakładach rękawiczniczych 22,271; pończoszniczych 21,453; wreszcie wyrobem rozmaitych innego rodzaju towarów zajmuje się 22,695 kobiét.

— **Użytki benzyny.** Najlepszym środkiem przeciw gąsienicy toczącej drzewo jest benzyna, którą smaruje się nadtoczone drzewo i zapełnia się znajdujące się w niem dziurki. Nalana na bawełnę, skutecznie może być użytą przeciw szczurom i myszom, a to zatykając nią nory tych szkodliwych zwierząt.

SZKICE OBYCZAJOWE,

Leona Kunickiego.

II.



SŁUGA WIEJSKI W WARSZAWIE.

Sługa. Czy nie wiadomo Panu, gdzie tu brat mojego Pana mieszka?

Stróż. A jakże się on nazywa?

Sługa. Juścić tak samo jak mój Pan.

Stróż. A któż jest Pański Pan i jak się nazywa?

Sługa (z oburzeniem). A i co to komu do tego, kto mój Pan? jak się nazywa? jest to sobie Pan z Panów i kwita.

Stróż. No, to go sobie szukajcie.

Sługa (spluwając)— Tfy! co to za *naród* nieużyty w tej Warszawie!!

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor. Adam Mieczyński.